



KLIMIEK



POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE
BIULETYN INFORMACYJNY ZARZĄDU
ODDZIAŁU SOSNOWIEC

ROK XIV

PAŹDZIERNIK 2009

4(53)

„Na turystycznym szlaku: Kruszyzna-Prusicko-Ważne Młyny (15 km)”

Z centrum Kruszyzny idziemy na cmentarz na grób powstańców styczniowych poległych 29.08.1863 w bitwie pomiędzy Kruszyzną a Nieznanicami.

Po przejściu wzdłuż murów cmentarnych, wkrótce, przecinamy drogę szybkiego ruchu (Katowice-Warszawa) i zmierzamy do lasu. Dwa kilometry od brzegu lasu przechodzimy potok i dalej bacznie zwracamy uwagę na znaki, bo idziemy niesprzyjającym terenem, w tym mokrym do drogi leśnej bitej, a dalej do gajówki Miroszowy. Miejsce to uzyskujemy po 9 km marszu.

Następnie w lewo skręcamy przy przydrożnej kapliczce.

Po minięciu przysiółka Miroszowy wkraczamy na długą ścieżkę przełajową w polach, którą dochodzimy do Prusicka po 11 km. Prusicko to duża dobrze zagospodarowana wieś nad rzeką Wartą.

Dwa duże stawy zostały założone na początku XV w. przez ówczesnego właściciela wsi Hincza z Rogowa. Kobyłańscy byli następnymi właścicielami wsi posiadającymi w okolicy obszerne posiadłości. Kobyłańscy to rodzina spokrewniona z Hińczami. Żyjący w XV wieku Krzysztof Kobyłański był poetą. Po Kobyłańskich Prusicko należało do Męcińskich, w XVIII w. do Małachowskich, w XIX-XXX w. do Lubomirskich. Z informacji pochodzących z połowy XVIII w. nad Wartą znajdował się jakiś zamek zbudowany w XV w. Centralną część wsi opuszczamy kierując się drogą boczną, obok kilku stawów rybnych. W Moczydłach osiągamy brzeg warty. Prywatną łódką przepławiamy się na drugi brzeg rzeki (uzgadniamy wcześniej koszt przepływu).

Dalej idziemy przez suchy sosnowy las, pokrywający piaszczystą skarpe rzeki. Za lasem, mostkiem nad rzeką dochodzimy do głównej drogi (Częstochowa-Brzeźnica) dochodzimy do stacji kolejowej Ważne Młyny przy linii kolejowej z Częstochowy do Siemkowic po 15 km drogi.

Ważne Młyny to osada młynarska wzmiankowana w XVIII w. Osada należała do pobliskiej Starej Brzeźnicy.

W wiekach XVIII i XIX znajdowało się tu wiele różnych młynów na rzekach Pisi i Warcie. Obecnie pozostały w różnych miejscach ślady po młynach.

Opracował: Krzysztof Czesak

„Na turystycznym szlaku: Ważne Młyny-Trzebca-Wąsosz”

Ze stacji kolejowej w Ważnych Młynach idziemy na południowy-zachód przez wieś Gojsć, a następnie schodzimy na boczną drogę bitą prowadzącą na północny zachód. Następnie przez las dochodzimy do niewielkiej położonej niejako w lesie wsi Płaczki, to już 4 km drogi. Realną prawdą jest, że szlak znów prowadzi przez las. Z kolei dochodzimy do zabudowań Orczuch. Orczuchy to miejscowość, gdzie przekraczamy dział wodny pomiędzy Kocinką i rzeką Wartą. Niebawem łagodnie schodzimy w Dolinę Kocinki, na której położona jest wieś Trzebca po 7,5 km drogi. Idąc w pobliżu prawego brzegu tej rzeki, która nieco niżej wpada do Liswarty, po 8,5 km dochodzimy do mostu. Za mostem przy najbliższym skrzyżowaniu skręcamy w prawo na szeroką drogę, prowadzącą wzdłuż długiej wsi Kule. Miejsce to osiągamy po 9,5 km. Nieco dalej w widłach Liswarty i rzeki Warty pośród lasu rozrzucone są zabudowania ośrodków wczasowo-kolonijnych.

Opuściliśmy po kilkuset metrach ośrodki i główną drogę. Wchodzimy na wyraźną linię leśną. Idąc wzdłuż krawędzi stromej skarpy w prześwitach widać w dole szeroką malowniczą wstęgę rzeki. Po 13,5 km dochodzimy do głównej drogi obok dwóch malowniczych kapliczek. Powyższą drogą podążamy w prawo do centrum wsi Wąsosz, czyli 14 km.

Wąsosz, to miejscowość malowniczo położona na wysokiej skarpie Warty. Wieś składa się z trzech dużych części: Wąsosz Dolnego, Południowego (centrum z kościołem) i Górnego (z cmentarzem i tzw. „Kalwarią Wąsowską”). Miejscowość wzmiankowana w 1250 r. W 1658 r. król nadał wieś Klasztorowi Paulinów na Jasnej Górze w Częstochowie w nagrodę za skuteczną obronę twierdzy przed Szwedami.

„Kalwaria Wąsowska to 14 kaplic ze stacjami Męki Pańskiej”.

Trzeci z kolei kościół we wsi został zbudowany w latach 1817-1826 r. przez właściciela dóbr Antoniego Walewskiego. Natomiast nowy kościół powstał w 1937 r. w którym stary kościół pozostawiono jako nawę poprzeczną. Wieża pochodzi z drugiej połowy XIX wieku.

Opracował: Krzysztof Czesak

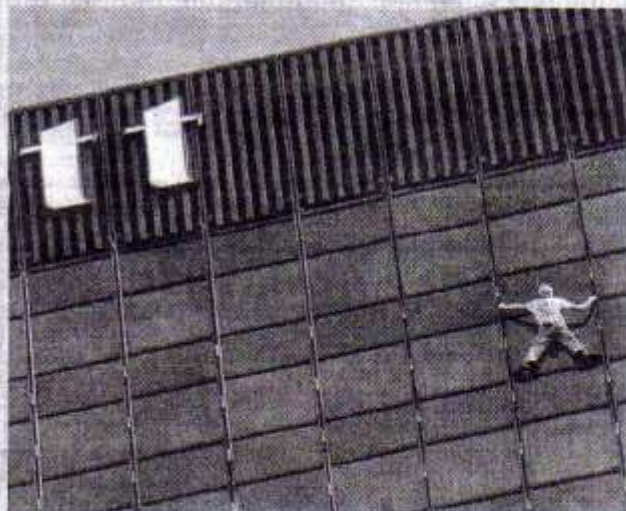
„Sosnowiczanie wspiął się na Marriotta”- „Dziennik Zachodni”-23.04.2009

Sosnowiczanie wspiął się na Marriotta

Zaledwie 45 minut wystarczyło 25-letniemu alpinistę z Sosnowca, by wspiąć się na dach warszawskiego hotelu Marriott. Śmiałość musiał pokonać 140 metrów wysokości. Zrobił to bez żadnych zabezpieczeń.

Brawurową akcję Bartłomiej O. wczoraj ok. godz. 16 obserwował od strony Alei Jerozolimskich i Pałacu Kultury spory tłum gapiów. Nie tylko. Pod budynkiem wspinacze z uwagą przyglądali się strażacy przy rozstawionym podnośniku i skokochronie oraz specjalistyczna grupa ratownictwa wysokościowego. Błyskawiczne zorganizowanie tej akcji ratowniczej może kosztować kilkanaście tysięcy złotych. Nie wiadomo, czy to alpinista będzie musiał zwrócić te pieniądze.

Choć wspinaczka odbywała się w czasie szczytu komunikacyjnego, ruch odbywał się prawie bez zakłóceń. Na dachu wieżowca czekali na człowieka-pająka policjanci, ale wylegitymo-



Alpinista pokonał 140 metrów w 45 minut

wali go i przesłuchali. Nie postawili mu żadnych zarzutów, bo – jak stwierdził jeden z funkcjonariuszy – „prawo nie zabrania chodzenia w pionie”.

Marriott został już zdobyty wcześniej, 10 lat temu wdrapał

się po ścianie hotelu w 20 minut Francuz, Alain Robert (wspinał się też z powodzeniem m.in. na paryską wieżę Eiffela i Sears Tower w Chicago). W 1999 r. Marriotta zdobył też inny Polak, Dawid Kaszlikowski. POW

„Everest na sprzedaż” - Monika Rogozińska: Rzeczpospolita-25.09.2009

Everest to marka, na której można dobrze zarabiać. Program „Everest: Beyond the Limit” (Everest: Przekraczając granice) Discovery Channel rozpoczął wiosną 2006 r. z inicjatywy Nowozelandczyka Russella Brice’a, organizatora wypraw komercyjnych. Kilkunastu Szerpów towarzyszącym klientom, którzy kupili udział w szansie wejścia na Mount Everest, zamontowano na kaskach kamery.

Pierwszy sezon uznano za sukces. W gronie bohaterów serialu filmowanego na Evereście znalazł się m.in. astmatyk z Danii wspinający się bez wsparcia tlenem z butli czy chodzący na protezach Nowozelandczyk, który stracił nogi poniżej kolan w wyniku odmrożeń na Mount Cook w swoim kraju. Mark Inglis zasłynął tym, że wrócił na Mount Cook na protezach dwie dekady później, a następnie wspiął się na szczyt Cho Oyu w Himalajach. Był drugą osobą na świecie o amputowanych kończynach, która przekroczyła wysokość 8000 m n.p.m. W maju 2006 r. jego wspinaczkę na Everest od tybetańskiej strony śledziły kamery. Przeżył widowiskowy wypadek: pękła liną poręczowa i kiedy spadał, złamał protezę. Taśma, którą skleił sztuczne podudzie, zrobiła furorę reklamową. Inglis stanął na szczycie jako pierwszy w konkurencji „po podwójnej amputacji”. Przed nim na wierzchołku stali przedstawiciele konkurencji: bez jednej nogi, bez ręki, niewidomy... Dzięki swym wyczynom Inglis dziś jest znanym prele-gentem, reklamuje też wzmocniający napój dla sportowców PeakFuel.

Śmierć w kamerze

Równie widowiskowa i głośna okazała się w tamtym sezonie 2006 roku historia 34-letniego angielskiego nauczyciela matematyki, choć bohaterem serialu został niechcący. David Sharp wykupił prawo do wspinaczki na Everest w agencji. W drodze ze szczytu zdołał noca zejść na wys. 8400 m. Do obozu zaopatrzono go w ten zabrakło mu 100 m różnicy wysokości. Idący w nocy do góry wspinacze, wśród których był Inglis i jego ekipa, przechodzili obok Sharpa. Siedział pod skałą bez reklamówek i bredził. Minęło go 40 ludzi. Nikt nie próbował go ratować. Czy się bali, że stracą szansę wejścia na szczyt? Niektórzy tłumaczyli później, że go nie zauważyli. Kiedy wracali, Sharp ciągle żył. O 10.30 ktoś z ekipy filmowej próbował zachęcić go, żeby powiedział coś do kamery...

Dopiero schodzący ze szczytu jeden z Szerpów podał tlen nieprzytomnemu Anglikowi. Nie był już w stanie wiele zrobić. Odcignął umierającego kilka metrów dalej, na słońce, i odszedł. Discovery nie odważyło się pokazać konającego. Trzech innych klientów agencji, która obsługiwała Davida Sharpa, zginęło na Evereście tydzień później.

Trupów na Evereście jest bardzo dużo. Bardzo rzadko zmarłych udaje się znieść do baz. Tam, gdzie można, grzebie się ciała w szczelinach lodowych lub nakrywa kopcem kamiennym. Pozostawione zwłoki „czyszczą” do kości czarne ptaki, zasypuje śnieg.

Jeśli dodamy do tego obrazu kradzieże wynoszonego z mozołem do obozów sprzętu i jedzenia, namiotów, butli z tlenem, od których zależy życie, awantury i bójki, zaimprowizowane knajpy obok bazy i stręczycieli oferujących usługi chińskich prostytutek pod górą usianą trupami, to widok wylania się upiorny. Coraz trudniej zatrzeć go istniejącymi przykładami partnerstwa i heroizmu.

Jakże bezradnie brzmiały w 2006 roku apele pierwszego zdobywcy Everestu, 86-letniego sir Edmunda Hillary’ego, o opamiętanie się i zamknięcie góry na jakiś czas. Interes musi się kręcić dalej.

W 2008 r. Chińczycy przerwali widowisko. Zamknęli Everest od strony tybetańskiej, żeby nikt nie przeszkadzał ich sportowcom wnieść na szczyt znicz olimpijski przed igrzyskami w Pekinie. Obawiali się manifestacji w obronie wolnego Tybetu. Następny sezon od tej strony góry również stał pod znakiem zapytania. Pytania o pozwolenie na wspinaczkę chińskie urzędy długo zbywały ciszą.

W tej sytuacji wiosną 2009 r. zgiełk przeniosł się na nepalską stronę. Już

dwie ekipy - konkurujących ze sobą komercyjnych organizatorów wspinaczek: Russella Brice’a i Amerykanina Erica Simonsona - realizowały równoległe dwa serie „Everest: Beyond the Limit” dla Discovery Channel. Ponad tysiąc ludzi oblepiało południowe stoki góry: najmłodsi i najstarsi, kobiety i mężczyźni, z tlenem i bez, z zamiarem przejścia do tybetańskiej bazy i z powrotem (podwójny trawers), reklamujący firmy i towary, a przede wszystkim siebie. Wielu weteranów wspinania wróciło tu, nie potrafiąc zejść ze sceny. Kolejni himalaści założyli agencje obiecujące opiekę i wprowadzenie klientów na szczyt.

Żeby uniknąć w strefie śmierci niebezpiecznych przestojów w kolejkach i za-deptania się, zespół Erica Simonsona osadził na wysokości 7700 m nowe stalowe nity, do których zamocowano liny. - Był to historyczny dzień dla Everestu - powiedział Simonson. - Droga na Everest będzie bezpieczniejsza i szybsza.

Odtąd ruch na Evereście odbywa się na odcinku Żółtych Skał równoległe wzdłuż jednej nitki lin do góry, a drugiej na dół. Podobnie przygotowane mają być wyższe fragmenty trasy na grani szczytowej. Przypomina to organizację ruchu na Giewoncie czy Orleju Perce.

- Jeśli ludzkość nie pójdzie po rozum do głowy, to pewnie budowa kolejki na ten szczyt jest tylko kwestią czasu - stwierdza polski himalaista Artur Hajzer.

Tymczasem na Mount Everest oplaca się wejść. EverestSpeakersBureau.com to agencja oferująca spotkania ze wspinaczami, którzy stanęli na wierzchołku najwyższej góry Ziemi. W prelekcjach dla firm podkreślana jest motywacja do osiągania celów, budowanie i praca zespołu, przywództwo. Cena wystąpienia zależy od marketingu. Im bardziej znany jest mówca, im większy szum medialny wokół siebie potrafi zrobić albo ma bardziej niesamowitą historię do opowiedzenia, tym jest droższy. Godzinna prelekcja kosztuje dziś od 1 do 20 tys. dolarów plus koszty transportu, hotelu, jedzenia. Ta cena spadła już z 40 tys. dolarów za godzinę, bo rynek psuje gwałtownie rosnąca podaź

- zwiększa się liczba osób, które stanęły na szczycie. Utracono dokładną rachubę, ale od kilku lat nawet 400 - 500 osób rocznie wchodzi na wierzchołek Everestu.

Obcięcie dłoni w cenie

Do najdroższych mówców należy Peter Hillary. Od-cina kupony od sławy ojca, w której cieniu żył. Długo ścigał się z tą sławą, zanim ją oswoił. Dwukrotnie podążał tropem sir Edmunda na szczyt Everestu, na biegun południowy. W marcu tego roku widziałam występ Petera w nowojorskim hotelu Waldorf Astoria na zjeździe The Explorers Club.

- Zgadnij, gdzie jestem? - opowiadał widzom treść rozmowy telefonicznej z ojcem siedzącym w domu w Nowej Zelandii. W słuchawce zapanowała cisza. - Na szczycie Everestu, tato! - zawołał Peter. Sir Edmund nie poddał się. - A jak ci poszło na Uskoku Hillary’ego? - zapytał syna o trudny fragment grani nazwany na swoją cześć. Peter jest pierwszym w konkurencji „ojciec i syn na Evereście”. Prelekcję, którą wygłasza, zatytułował: „Zdobądź swój własny Everest”.

23-letni Bear Grylls dostał się w 1998 r. do Księgi rekordów Guinnessa, kiedy

wspiął się na Everest jako najmłodszy Brytyjczyk. Choć dwa lata wcześniej uszkodził kręgosłup w wypadku spadochronowym w Afryce i rok walczył, żeby móc chodzić, to sławę i pieniądze przyniósł mu dopiero wypadek na stokach Everestu. W Lodospadzie Khumbu zalał się pod nim śnieżny most. Bear wpadł do głębokiej szczeliny i nieprzytomny zawisnął na linie. Uratowali go koledy. Ta scena została użyta do kampanii reklamowej dezodorantu Sure for Men, znanego w Europie pod nazwą Rexona. Bear został twarzą tej marki i uwielbianym celebrytą, z którym spotkanie można zamówić przez agencję EverestSpeakersBureau.com.

Aron Ralston co prawda nie wszedł na Everest, ale już nie musi. Stał się wystarczająco sławny, żeby EverestSpeakersBureau.com dołączyło go do swojej stajni everestowych lektorów. Za występ bierze od 15 do 37 tys. dolarów. Miliony Amerykanów ponoć czerpią inspirację z jego historii. Sześć lat temu 27-letni Ralston wspiął się samotnie w wąskim kanionie na pustyni w Utah, kiedy ogromny głaz spadł i, klinując się w szczelinie, przegniótł mu dłoń do skały. Pięć dni mężczyzna stał na występie skalnym lub wisiał wuprzęży, próbując uwolnić zmiężdżoną dłoń. Wreszcie szczytorem odcinał rękę w nadgarstku. Zsunął się na dno rozpadliny. Po 10 km marszu przez pustkowia spotkał turystów, którzy wezwali pomoc. Jego historia poruszyła Stany Zjednoczone. Odciętą dłoń Arona wydobyto, skremowano i oddano właścicielowi. Ten rozsyłał prochy w miejscu wypadku, które stało się atrakcją turystyczną. Wyrazom wsparcia i sympatii, jakie otrzymywał, towarzyszyło pytanie: „Jakiej marki był ten szczyt?”.

Na tym tle prezentacja Sharon Woods wygląda skromnie. Jest co prawda pierwszą Amerykanką, która weszła

na Everest, i chyba jedyną kobietą, która zrobiła to nową drogą i bez pomocy Szerpów. Zatyłowała ją: „Na szczyt i dalej. Zaryzykuj. Zaczynaj żyć”.

Ocaleni bohaterami

Everest jest górą straconą – twierdzą ambitni wspinacze zniesmaczeni tłumem przypadkowych ludzi na stokach. – Jeśli używasz tlenu z butli, to nie jesteś alpinistą. Przypominasz raczej astronautę albo nurka – mówił Inaki Ochoa, hiszpański himalaista, który wszedł na 12 ośmiotysięczników, nim zginął na Annapurnie.

Wiosną 2009 r. pierwszy astronauta wszedł na Everest. Scott Parazynski, Amerykanin z polskimi korzeniami, wniósł na szczyt kamień przywieziony z Księżyca przez misję Apollo 40 lat wcześniej. Wchodził na tlen z butli. – Everest był najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobiłem, pod względem fizycznym i psychicznym – powiedział po zejściu.

Włoch Simone Moro realizuje ekstremalne zadanie: zimowy podbój ośmiotysięczników. Zdobył w zimie Shisha Pangmę i Makalu. W wywiadzie dla ExplorersWeb (www.mounteverest.net) skomentował bieżącą scenę himalajską:

– Wydarzenia rozwijają się kuriozalnie: ocaleni stają się bohaterami, ratownicy wybawcami, a łatwe wspinaczki nadzwyczajnymi wyzwaniem.

Do Everestu nie chce się nawet zbliżyć.

Mount Everest jednak, jak żadna inna góra na świecie, przynosi profity. Więc tłok na nim będzie rósł. Dla biznesu nie ma granic. ■



Do stóp Mount Everestu od chińskiej strony można podjechać ciężarówką, autobusem i taksówką



Tłum na szczycie. Na pierwszym planie 71-letni Japończyk Katsusuke Yanagisawa, emerytowany nauczyciel, w 2007 r. rekordzista w kategorii „najstarszy na Evereście”. Rok później rekord ten pobił jego rodak, 75-letni Miura Yuichiro

Powstaje film o Kukuczce



Filmowcy pod obeliskiem poświęconym polskiemu himalaistom. Czwarci od lewej Wojciech Kukuczka, za nim mama – Celina

Michał Wroniński

Dzisiaj mija dokładnie dwadzieścia lat od tragicznej śmierci Jerzego Kukuczki. Pochodzący z Katowic zdobywca, przeszedł do historii himalaizmu jako drugi człowiek na świecie, który zdobył Koronę Himalajów, czyli wszystkie czternaście ośmiotysięczników.

W swoim rodzinnym mieście Jerzy Kukuczka ma osiedle i wyższą uczelnię swojego imienia. Teraz jego dokonania chcą przypomnieć śląscy filmowcy, którzy kilka dni temu wrócili z Nepalu. Premiera przygotowywanego przez nich dokumentu planowana jest na połowę lutego.

– Do tej pory powstał tylko jeden film o Kukuczce. Nie chcemy jednak tworzyć ani dokumentu dla wąskiego kręgu ludzi związanych ze środowiskiem wspinaczkowym, ani też obrazu zbyt patetycznego. To ma być film dla masowego widza. Momentami wzruszający, ale też radosny i pogodny. Chcemy pokazać, że Kukuczka był na-

prawdę fajną postacią – mówi Alina Markiewicz, autorka scenariusza nowego dokumentu.

Gdyby żył, miałby dziś 61 lat. Przygodę ze wspinaczką Jerzy Kukuczka rozpoczął jako nastolatek przy okazji wypadu na Jurę (wcześniej trenował podnoszenie ciężarów w barwach HKS-u Szopienice). Na prawdziwe wspinanie przyszedł jednak czas, gdy wstąpił do Klubu Wysokogórskiego w Katowicach. Czternaście lat po debiucie w skałkach zdobył swój pierwszy ośmiotysięcznik – Lhotse (8501 m n.p.m.). W ciągu kolejnych ośmiu lat postawił nogę na pozostałych trzynastu ośmiotysięcznikach w Himalajach i Karakorum. Wcześniej tej sztuki dokonał jedynie pochodzący z Tyrolu Reinhold Messner. W uznaniu tych dokonań obaj zostali uhonorowani medalami podczas Olimpiady w Calgary.

Dwa lata po skompletowaniu Korony Himalajów Kukuczka wrócił pod Lhotse. Razem z katowickim wspinaczem Ryszardem

Pawłowskim chcieli pokonać południową ścianę ośmiotysięcznika. Gdy do

wierzchołka brakowało zaledwie kilkaset metrów, zerwała się łącząca ich lina i Kukuczka runął w przepaść. Koledzy odnaleźli jego ciało i pochowali je w lodowej szczelinie.

Filmowcy przygotowujący dokument o Kukuczce, z początkiem października wyruszyli ze Śląska pod Lhotse. Razem z trójką studentów i rektorem katowickiej Akademii Wychowania Fizycznego (Kukuczka jest jej patronem) przeszli ze stolicy Nepalu w rejon wioski Chukung. Stoi tam czortem (kamienny obelisk z płytą pamiątkową), poświęcony Kukuczce i innym tragicznie zmarłym na Lhotse polskim wspinaczom. Tam filmowcy spotkali się z żoną Jerzego Kukuczki, Celiną, i jego synem, Wojciechem, który na fotografiach dokumentował przebieg wyprawy.

– W filmie chcemy pokazać, jak Wojtek przez przyzmat swo-

jej pasji poznaje miejsca, w których wspinął się jego ojciec. O tym zaś, że nadal jest on wzorem dla współczesnych himalaistów najlepiej świadczą wydarzenia, których świadkiem byliśmy w bazie pod Lhotse. Gdy przebywający tam koreańscy wspinacze dowiedzieli się, że wśród nas jest syn Kukuczki, przyjęli go niemal jak boga – mówi Alina Markiewicz.

W tej chwili trwa zgrzywanie materiału nakręconego w Nepalu. Autorem zdjęć jest Dariusz Zahuski – uznany twórca filmów o tematyce górskiej i utytułowany wspinacz (ma na koncie cztery ośmiotysięczniki, a także Kilimandżaro, McKinley i Aconcagua). W dokumencie pojawi się sporo kadrow ze Śląska, gdzie urodził się, wychował i pracował Jerzy Kukuczka. Wspólne wyprawy w góry wspominać będą jego koledzy: Ryszard Pawłowski, Artur Hajzer i Krzysztof Wielicki (właśnie Wielicki w 1996 roku powtórzył wyczyn Kukuczki i zdobył całą Koronę Himalajów).

„Stulecie TOPR na monetach”- Dziennik Zachodni-24.09.2009
„Najlepsze schronisko na Przegibku”- Gazeta Wyborcza-4.08.2009

– Trzeba przypominać takie nietuzinkowe postacie, zwłaszcza, że są tak mocno związane z naszym regionem. A Jurek Ku-

Polski pionier

● Pierwszy w historii zdobywca Korony Himalajów, Reinhold Messner, powiedział kiedyś Jerzemu Kukuczce: „Pamiętaj – nie jesteś drugi, jesteś wielki”.

Istotnie – styl, w jakim katowiczanie zdobywali wszystkie ośmiotysięczniki, uzasadnia taki wyjątkowy komplement. Na dziesięciu ośmiotysięcznikach Jerzy Kukuczka wytyczył nowe drogi wspinaczkowe, cztery jako pierwszy człowiek na świecie zdobył podczas zimy, na jeden natomiast wszedł samotnie. Często też wspinał się bez tleniu. W sumie podczas swojej kariery aż siedemnaście razy zdobywał ośmiotysięczniki, co do dziś pozostaje rekordem wśród polskich himalaistów.

kuczka nigdy nie krył się z tym, że jest Ślązakiem. Był z tego dumny. W jego postawie było zresztą wiele z takiego typowego, śląskiego uporu. Zawsze ostatni schodził z gór. Mawiał często: „Mamy zapłacone za konkretny czas, to siedzimy i działamy do końca” – wspomina Wielicki.

Dokument o Jerzym Kukuczce ma być gotowy w połowie lutego. Jak zapewnia Alina Markiewicz, uroczysta premiera filmu z pewnością odbędzie się na Śląsku.

– Później będziemy chcieli sprzedać go różnym telewizjom. Być może obraz trafi również do sprzedaży na płytach DVD – dodaje.

8 lat

zajął Jerzemu Kukuczce zdobycie wszystkich ośmiotysięczników

Stulecie TOPR na monetach

Marian Satała

Narodowy Bank Polski wprowadza dziś do obiegu złote i srebrne monety upamiętniające setną rocznicę powstania Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. Srebrną o nominale 10 zł oraz złotą o nominale 100 zł. Cena monety złotej wynosi 982 zł, a srebrnej 69 zł.

Na awersie złotej monety z prawej strony orła umieszczono postać Mariusza Zaruskiego, pierwszego naczelnika Straży Ratunkowej. Na rewersie u dołu widnieje stylizowany wizerunek Mięguszowieckich Szczytów i Cubryny, u góry w zależności od kąta patrzenia

dwa śmigłowce. Monety zaprojektowała Dominika Karpińska-Kopiec.

Piękna jest również srebrna dziesięciozłotówka. Na awersie dominuje odznaka TOPR – błękitny krzyż na białym polu z brązowym otokiem, w którym umieszczony jest napis: Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. Na rewersie jest stylizowany portret drugiego z założycieli TOPR Mieczysława Karłowicza.

18 września weszła do obiegu dwuzłotówka wykonana ze stopu Nordic Gold. Na rewersie jest stylizowany wizerunek ratownika transportującego człowieka na noszach.



Awers i rewers złotej monety na stulecie TOPR

KATOWICE NAJLEPSZE SCHRONISKO – NA PRZEGIBKU.** Wielki test schronisk magazynu „n.p.m.” rozpoczął się 1 sierpnia ub. roku. Współpracownicy pisma odwiedzili incognito wszystkie polskie baczówki i schroniska, każdy obiekt oceniali dwa razy. Sprawdzali m.in., czy sanitariaty są czyste, czy jest gdzie wysuszyć przemoczone buty, czy schronisko jest czynne całą dobę, czy jedzenie smaczne, a ceny niezbyt wygórowane. Teraz magazyn opublikował wyniki. Na podium nie ma ani jednego popularnego schroniska w Tatrach. Najlepsze okazało się za to schronisko na przełęczy Przegibek w Beskidzie Żywieckim.

„Zobaczyłem noworodka leżącego na ulicy”- Małgorzata Goślińska: Gazeta Wyborcza-18.09.2009

MAŁGORZATA GOŚLIŃSKA: Gdzieś na świecie zdarza się katastrofa, powódź, trzęsienie ziemi albo wybucha konflikt zbrojny i Ty tam jedziesz. Po co?

RAFAL HECHMANN: Rozeznać potrzeby: co jest najważniejsze, z czym można poczekać, skąd to wziąć, ile będzie kosztowało. Jesteś na totalnej adrenalinie. Nigdy nie wiesz, z czym się spotkasz. Od ciebie zależy, czy pomoc zadziała, czy będzie trafiona.

ANNA LEWAŃSKA: Rafał jest w tym dobry, jest energetyczny, lubi to.

RH: Trzeba działać szybko. Ocenieć sytuację i dogadać się z innymi organizacjami pomocowymi, co kto robi, dzielimy się zadaniami. Każda organizacja specjalizuje się w innej dziedzinie, jedna ma lekarzy, druga dostarcza żywność, inna namioty. Ja pracuję w Polskiej Akcji Humanitarnej, która zajmuje się m.in. wodą. Sprawdzamy, czy jest zdatna do picia, gdzie jest najbliższe źródło. Opieramy się na miejscowych fachowcach, oni najlepiej wiedzą, co i jak załatwić, znają przecież każdy zakątek swojego kraju. Zamiast rzucać baniaki z wodą z helikopterów, może wystarczy ją oczyścić, założyć filtr albo wykopać dalej studnię i dowozić ciężarówkami z cysterną? To tańsze rozwiązanie i generuje rozwój regionu! Tak samo z żywnością czy lekami - kupując na miejscu, wspierasz lokalną gospodarkę, która musi podnieść się z kryzysu.

Pojedziesz szukać wody z Rafałem?

AL: PAH nie zatrudnia fotografów.

RH: Ale moja praca nie wymaga długich rozstań. Również dlatego jestem koordynatorem pomocy na tychmiastowej. Misja trwa pół roku, czasem przez dziesięć miesięcy zawiadujesz pomocą na miejscu. A moje zadanie to krótki strzał: trzy, cztery tygodnie i wracam do Warszawy pisać raporty, stąd koordynuję dalszą pomoc.

Po farmacji na Śląskim Uniwersytecie Medycznym pracowałeś w aptece w Mikołowie, związałeś się z Anią, zapowiadało się stabilne życie. Co Cię podkusiło, żeby nagle zająć się pomocą humanitarną?

RH: Pojechałem do Azji. Był 1999 rok, jeszcze nie znałem Ani. Z kumplami - plecak, droga lądowa, Indie, Nepal... To się przerodziło w pasję. Co roku brałem długi urlop na Azję. Iran, Pakistan, znów Indie, Laos, Tajlandia. Urzekła mnie Azja, każdy szczegół, zapachy! Szwendałem się cztery miesiące, miejsca turystyczne, miejsca dziewicze... Już za pierwszym razem przyszło mi to do głowy: zmienić karierę zawodową. Zetknąłem się z prawdziwą biedą.

Co to znaczy prawdziwa bieda?

RH: Jak sobie pójdziesz do Szopieniec w Katowicach...

...czy na Zakłę, jak pojedziesz do Rudy Śląskiej na Kaufhaus, do Bytomia na Bobrek - dużo jest enklaw biedy na Śląsku.

RH: W Azji ta bieda jest przytłaczająca. Noworodek leży przy matce na ulicy, goły, umorusany błotem i ludzie go przekraczają, bo takich są setki, tysiące. Widzisz ich z pociągu, w centrach miast: przepasani ręcznikiem, mieszkają w budach skleconych z bryły czegoś. Miliony! Zaczynamy sobie uświadamiać, w jakim ja fajnym kraju żyję, nawet w tej Polsce. Chcesz coś zjeść - idziesz do sklepu, chcesz się napić - odkręcasz kran. Nie musisz pokonywać kilkadziesiąt kilometrów po wodę! W 2002 roku pojechałem do znajomego w Australii.

Tam też zetknąłeś się z biedą?

RH: Swoją własną! Pracowałem w knajpie. Żeby zdobyć miejscowe przepisy! Nie, no po to, po co się pracuje - dla pieniędzy. Byłem na urlopie bezpłatnym. Zgłosiłem się z ogłoszenia, że poszukują kucharzy.

Gotowałeś wcześniej?

RH: W zakresie domowym. Kazach, który pracował tam przede mną, przeszkolił mnie szybko. To była knajpa włosko-żydowska, robilem hamburgery. Pięć miesięcy i to, co zarobiłem, starczyło na powrót do Polski samolotem. Ale zetknąłem się z profesjonalną pomocą humanitarną. Wróciłem do Polski i zgłosiłem się do PAH na wolontariusza jako doradca farmaceutyczny. Akurat wybuchła wojna w Iraku. Robiłem ekspertyzy leków dla szpitali, jakie są potrzebne, gdzie ich szukać. I postanowiłem kształcić się w tym kierunku.

Pomoc profesjonalna?

RH: Fundraising, public relations, kampanie społeczne, billboardy... Ale daj mi wyjechać z tej Australii! Jeszcze tam wrócę, z Anią.

Właśnie, jak się poznaliście?

RH: Na sylwestrze u Bartka Wrześnińskiego.

Kolejne nazwisko fotoreportera z „Wyborczej”: Ania i Bartek robili zdjęcia dla „Gazety” w Katowicach. Bartek, przyjaciel z lat szkolnych Rafała, podróżował po Afryce. No, ale co się stało na tym sylwestrze?

AL: Spotkały się dwie bratnie dusze. Jedziesz do Australii? - Pojedziesz ze mną? Tak - Tak.

I w jeden wieczór rzuciłaś pracę w redakcji?

AL: Wzięłam urlop bezpłatny na pół roku. Wcześniej przygotowywałam się przez dziewięć miesięcy.

Kupiłam wtedy od Ciebie skórzane buty za kostkę. Granatowy płaszcz, ten długi, sportowy też mi się podobał. Poszedł?

AL: Nie pamiętam, może wisi jeszcze w szafie u mamy.

Sprzedawałaś morrisa! To było symboliczne, ludzie mówili: Anka wyjeżdża na zawsze.

AL: Poszedł za pięć i pół tysiąca. A wart był osiem. Wiedziałam przynajmniej, że idzie w dobre ręce i nowy właściciel będzie o niego dbał. Jasne, że było mi żal! Spieszyłam się. Sprzedałam rower, wszystko, co się dało, żeby mieć na podróż i szkołę językową.

A gdyby Ania w tę noc powiedziała: nie jadę?

RH: Ja już wtedy chciałem studiować w Australii zdrowie publiczne. Taki miałem plan, Ania pomogła go zrealizować.

Byliście w Australii na wizach studentek?

RH: Ania po skończeniu szkoły na mojej, jako moja partnerka.

Przecież nie wzięliście ślubu?

RH: Musieliśmy udowodnić, że jesteśmy razem. No wiesz, przychodzisz do urzędu, stoi tam łóżko, zbiera się komisja...

AL: Trzeba było przedstawić dokumenty, że wspólnie mieszkamy i trafić na odpowiedniego urzędnika. Naszemu spodobały się moje zdjęcia i dostaliśmy wizę od ręki.

Za co żyliście?

RH: Na początku zatrzymaliśmy się u kumpla. Ja pracowałem w aptece, dość specyficznej. To była trochę poradnia dla narkomanów. W centrum Sydney, najdłużej czynna, do północy. Podawaliśmy metadon, wymienialiśmy strzykawki. Przychodzili ludzie z różnych grup społecznych, prostytutki. Jednego dnia są twoimi najlepszymi kumplami, a na drugi wyzywają cię od najgorszych. Nauczyłem się od nich, że nie należy nikogo skazywać za wygląd, nawet gdy jest w szponach nalogu, ma uczucia, potrzeby, można z nim fajnie pogadać. Przydało mi się to doświadczenie. Ania pracowała w knajpie.

AL: Zmywałam naczynia, najgorsza praca w moim życiu. Potem opiekowałam się starszymi ludźmi, to mi się podobalo. Gdy zaczęłam robić zdjęcia, zostawiłam sobie najlepsze babcię. Niektóre mi umarły, babcia Bronia, która miała życie na książkę... Namawiałam jej wnuka, żeby ją spisał. Była z Polski, przeszła przez Syberię, gdzie poznała męża i urodziła córkę. Robiłam zdjęcia komercyjnie, z imprez. To nie były urodziny w ogródkach. W hotelach czterogwiazdkowych! Potrafiłam zarobić 200 dolarów za dzień i cieszyłam się, że znów mam aparat w ręku. Babcię doglądałam, czy im czegoś nie potrzeba. Córka i wnuczek wpadali czasem do babci Broni. Wymyślałam z nią, co by tu kupić, żeby wyjść. Chodziło o to, żeby im towarzyszyła.

Co to jest zdrowie publiczne?

RH: Gałąź medycyny. Z tym, że nie skupia się na człowieku, tylko na społeczeństwie. Statystyka, epidemiologia, nawyki, promocja zdrowia, organizacja służb medycznych. Uparłem

się, żeby robić te studia pod kątem pomocy humanitarnej, wynegocjowałem temat pracy magisterskiej o ewakuacji odpowiedzi organizacji humanitarnych na tsunami i w 2004 roku pojechałem na miesiąc na Sri Lankę, półtora roku po katastrofie. Moje badania były publikowane w „Journal of Humanitarian Assistance” i przedrukowywane w różnych czasopiśmie branżowych.

Co zobaczyłeś na Sri Lance?

RH: Szpitale zawałone lekami.

Były niepotrzebne?

RH: Tam trzeba było zwykłych antybiotyków i opatrunków. Ginęły w tonach, nie było takiej siły przerobowej, żeby je wyselekcjonować. Poszkodowani byli opatrzeni po tygodniu. Tymczasem samoloty z darami łądowały przez pięć miesięcy, sto samolotów dziennie! Z tabletkami na nadciśnienie, w napęczniętych opakowaniach, przeterminowanymi, opisanymi po arabsku, koreańsku, niemiecku. W kraju, gdzie urzędowymi językami są tamilski i syngaleski, a ze względu na przeszłość kolonialną powszechnie używany jest angielski. Każdy dawał, co miał w domu.

Darczyńcy czyścili apteczki?

RH: Myślę, że chcieli pomóc. Te organizacje, które zbierały i wysyłały dary, zachowały się nieodpowiedzialnie. Uaktywniły się albo dopiero co powstały. Może chciały zabłysnąć? To była najbardziej medialna i najlepiej finansowana katastrofa w historii. Błąd tych organizacji polegał na tym, że nie oparły się na faktycznych potrzebach. Uznały, że lepiej dać cokolwiek niż nie i przyniosły więcej szkody niż pożytku. Na Sri Lance działały dwa potężne zakłady produkujące wszystkie leki, jakie można sobie wyobrazić. Ale w głębi łąd, daleko od katastrofy. Szpitale wołały brać leki z darów, darmowe. Teraz mają problem z ich użyciem, a miej-

scowy przemysł farmaceutyczny podupadł.

Dobrze Wam się żyło w tej Australii, nie musieliście oszczędzać?

RH: Wynajęliśmy mieszkanie, nie głodowaliśmy i mogliśmy odłożyć. Starczyło na powrót do Polski. Jechaliśmy sześć miesięcy drogą łądową przez 26 krajów azjatyckich, w każdym zatrzymywaliśmy się na tydzień, dwa. Założyliśmy, że na święta Bożego Narodzenia będziemy w domu. Inaczej ta podróż przeciągałaby się w nieskończoność.

Po co wracaliście?

RH: Byliśmy w Australii 3,5 roku. Wiedzieliśmy, że przyjaciół stamtąd już nigdy nie spotkamy. Ale w Polsce zostały sentymenty, rodzina, znajomi. Musieliśmy zdecydować, nie da się żyć tu i tam naraz, za dużą odległość, za drogie bilety, nie polecisz nawet raz do roku.

AL: Rafał aplikował się na studia podyplomowe z pomocy humanitarnej. Nie wierzył, że się dostanie. Ja przygotowywałam się do wyjazdu.

RH: To jedyne takie studia na świecie, prowadzone są na siedmiu uniwersytetach w Europie pod egidą Komisji Europejskiej. Antropologia, geopolityka, zarządzanie sektorem pozarządowym, tworzenie projektów, symulacje katastrof i konfliktów zbrojnych... Na każdy uniwersytet przyjmują co roku po 20 ludzi. Oceniają znajomość języków i doświadczenie w krajach rozwijających się. Dostałem się

do Dublina, drugi semestr robiłem w Bournemouth.

AL: Ja zostałam w Irlandii, robiłam kampanie w barze szybkiej obsługi.

Ambitna, samodzielna, niepokorna – tak Cię zapamiętałam. A Ty jeździłeś za facetem.

RH: To jest podążanie tylko geograficzne!

AL: Po powrocie z Australii szukałam pracy jako fotoreporter. Ciężko. Próbowałam zrobić wystawę fotograficzną na „Sydney - Katowice drogą łądową”. Ale w Rondzie Sztuki powiedzieli, że mają zajęte terminy na cały rok. Nie pytałam o pieniądze, nie mówiłam, że nie mam, może bym znalazła, chodziło mi o jeden dzień. W Irlandii miałam wystawę, może uda się w Warszawie? W Australii zaczęliśmy od zera, mieliśmy tylko kółko u kumpla. W Katowicach cofnęliśmy się do etapu randkowania, ja mieszkalam u swojej mamy, Rafał u swojej. Po co miałam tu zostawać? Ani pracy, ani mieszkania. Dawno chciałam zmienić pracę, wyjechać, zanim poznałam Rafała. Przejeżdżając przez azjatyckie kraje, widziałam ludzi, którzy nie mają nic i potrafią być szczęśliwi. Zmieniłam się, wiem, że należy korzystać z każdej okazji, jaką niesie życie.

Aparat fotograficzny też sprzedawaś?

AL: Nigdy! Siedziemy teraz w knajpie, a ja patrzę na okno, jakby je sfotografować. Nie wyciągam aparatu. Ale cały czas myślę obrazami. ☺

ROZMAWIAŁA MAŁGORZATA GOŚLIŃSKA



Pakistan Północny. Karakoram Highway. Anna Lewańska i Rafał Hechmann na moście wiszącym nad rzeką Hunza

„Oko w oko z kamzikiem” - Olga Przybyłowicz-Rzeczpospolita: 4.09.2009

Kozice modelki na Jagnięcym Szczycie, świstaki przebiegające ścieżką w Dolinie Wielickiej, ziołorośla tworzące kolorowe dywany w Wahlenbergowych Ogrodach. Spokój i cisza, jakich próżno szukać po polskiej stronie. To słowackie Tatry w środku sezonu.

Turystów jak na lekarstwo

Do autobusu prywatnej linii jeżdżącego do Popradu i Starego Smokowca wsiadam w Poroninie. Po polskiej stronie granicy nie sposób się przebić przez korek do Zakopanego. A po słowackiej – pusto. W autobusie pięć osób. – Dopiero w połowie wakacji zaczął się jakiś ruch. Wcześniej woziliśmy powietrze – mówi kierowca. Kryzys finansowy i wprowadzenie euro spowodowały, że w środku sezonu w słowackich Tatrach Wysokich turystów jak na lekarstwo.

Kilka kilometrów od granicy na Łysej Polanie sklep spożywczy w Tatrzńskiej Jaworzynie zamknięty na cztery spusty. A zwykły ruch był tu wielki, bo przed granicą każdy chciał wydać ostatnie korony – czy to na świetną czekoladę Studentką, czy to na słowacką śliwowicę lub tanie piwo. Moja gospodyni wspomina z nostalgią: jeszcze rok temu było tak dużo turystów, że gdyby człowiek miał dwa domy, to nie wystarczyłoby miejsca. Teraz mieszkam u niej w dużym domu sama przez tydzień.

Smokowiec, Tatrzńska Łomnica, Szczyrbskie Pleso w porównaniu z Zakopanem zalanym turystami i tandetnymi pamiątkami wyglądają jak wymarłe.

Inna rzecz, że słowacka infrastruktura pozostawia wiele do życzenia. Apteka w Smokowcu czynna jedynie od 8 do 16 z półgodzinną przerwą koło południa. Jeśli wychodzi się wcześniej rano na cały dzień w góry, kupienie plastra czy innego środka opatrunkowego graniczy z cudem. Jeśli zabraknie plastra w sklepie z pamiątkami na stacji w Starym Smokowcu, czeka nas wyprawa do Popradu (35 min kolejką ze Smokowca).

Sklepy spożywcze w podtatzańskich miejscowościach budzą zdziwienie: ciemne, z metalowymi półkami i niezbyt zachęcającymi ładami chłodniczymi przypominają czasy Czechosłowacji. Dwa, trzy gatunki sera, wyschnięte kiełbaski i nieapetyczne wędliny. Gdy po południu wraca się z wycieczki, na półkach w dziale pieczywo pustki. Zazwyczaj jest tylko zwykły krojony, zaflowany chleb z kilkudniową datą przydatności. Tylko nabiał Słowacy mają znakomity.

Z kozią rodziną na szczyt

Droga na Jagnięcy Szczyt (2290 m n.p.m.) od schroniska Chata pri Zelenom plese (1551 m n.p.m.), mimo różnicy wzniesień, jest mniej męcząca niż ponad siedmiokilometrowe dojście dołną na Zielony Staw Kieżmarski. Z podejścia na próg Doliny Jagnięcej (najbardziej mozolny odcinek) widać północną ścianę Łomnicy, Wideli i Kieżmarskich Szczytów. Za Łomnicą i Klimkową Przełęczą, nazwaną tak dla upamiętnienia słynnego tatrzańskiego przewodnika i ratownika Klemensa (Klimka) Bachledy, który zginął w sierpniu 1910 roku podczas akcji ratunkowej na północnej ścianie Małego Jaworowego Szczytu, widać Durny Szczyt (po słowacku Pyšný) i Baranie Rogi.

Mieczysław Karłowicz, kompozytor i taternik, zachwycał się tą częścią Tatr. „Jastrzębiej Turni oddać muszę hold (...). Widok z niej jest nieco ograniczony, nie pozwala wzrokowi bujać po całych Ta-

trach i po odległych nizinach, lecz to, co się widzi, wynagradza najzupełniej pewne zacieśnienie. Patrzymy stąd na najwspanialsze ściany, jakie istnieją w Tatrach: czerni się masywny Kieżmarski, szczyra swe zęby poszarpane Widły, wysuwa w niebo dumne czoło Łomnica, wreszcie silnymi liniami rysują się stożki Wielkiego i Małego Durnego” – pisał.

Tuż nad progiem, na skraju dolnego piętra doliny, leży Czerwony Stawek chętnie odwiedzany przez kozice. Dalej droga wiedzie przez dziką i piękną Dolinę Jagnięcą (Słowacy nazywają ją Červeną).

Wyczuwam intuicyjnie, że gdzieś w górze są kozice, ale nie mogę ich dostrzec. Na razie słychać tylko ostrzegawcze wysokie gwizdy świstaków buszujących pomiędzy skałami i płatynami ziołorośli. Wdrapuję się na Przełęcz Kołową. Przed łańcuchami wyprowadzającymi na siodło przełęczy spotykam starsze małżeństwo z Polski. – Rano, gdy wchodziliśmy na Jagnięcy, był tu cały kierdel kozic – mówi straszny pan.

Przechodzę na północną stronę Kołowej Przełęczy, gdzie otwiera się wspaniały widok na doliny Kołową i Jaworową oraz polską stronę Tatr. Nagle, jak duch, wyłania się gdzieś za skały kozica. Na przełęczy jest jeszcze troje turystów. Wyjmujemy aparaty fotograficzne, starając się nie spłoszyć kozicy gwałtownymi ruchami, ale w ciszy słychać każdy szelest.

Kozica widzi i na pewno słyszy nasze manewry, bo słuch i węch ma doskonały, ale najwyraźniej nie przeszkadza jej nasza obecność. Znika na chwilę za załomem i zza skał wyłania się już nie sama, ale w towarzystwie trzech tuściutkich kozłat. Błyszcząca sierść maluchów jest szarobrunatna, a samica ma futerko rudawoczerwone. Do gronadki dołącza cap. Cała piątka, nie zważając na towarzystwo ludzi, spokojnie skubie trawę, z gracją pokonuje skałki.

Ruszam śladem koziej rodzinki, która odtąd będzie mnie prowadzić na sam szczyt. Perc blegnie granią, na lewo od jej krawędzi, systemem kominów i żeber. Moi przewodnicy czasami znikają z oczu, gdy obniżam się rynną, ale po wyjściu na górę znowu mam kozią rodzinę w zasięgu wzroku, kilka metrów przed sobą.

Pan kamzik zawsze czuwa nad bezpieczeństwem rodziny, obserwując z wyniosłej skałki otoczenie. Prezentuje się jak model na wybiegu, ale i pani kozica pokazuje swe wdzięki. Młode uczą się w mgnieniu oka. Dumnie pozuja nad przepaścią. Wygląda, jakby kozice czekały, aż niezgrabnie i wolno dotrą do punktu, w którym one znalazły się kilka minut wcześniej.

Fukający cap

Ze szczytu jak na dłoni widać całe Tatry – na wschodzie Bielskie, na północy polskie Tatry Wysokie, w zachodnim kierunku piętrzą się granitowe olbrzymy słowackie: Lodowy, Gerlach, Wysoka, Ganek.

W powrotnej drodze koziej rodzinki nie widać. Przeniosła się gdzieś indziej – myślę. Widzę przełęcz Kołową, jeszcze tylko jeden komin. Wspinam się i... staję oko w oko z dorodnym kozłem stojącym na środku ścieżki. Z prawej strony skała, z lewej strome upłazdki. Mierzmy się wzrokiem. Kamzik nie zamierza ustępować. Ja też nie. Zresztą nie mam wyjścia. Szanse na wyminięcie kozicy na wąskiej percy są znikome. W oczach capa widzę nie to ironię, nie to lekceważenie. W końcu fuka na mnie znacząco i skacze w lewo, w przepaść. Chwila niepewności. Kilka sekund później widzę, jak spokojnie stoi kilka metrów... wyżej, na skałce zawieszony nad przepaścią. – Jak on to zrobił? – zastanawiam się z poznanym na szczytach turystą, który przyglądał się całej scenie. Zaglądamy za załom. Przepaść. Na skałce kilkucentymetrowe upłazdki. To po nich kamzik bez najmniejszego trudu przedostał się po-

wyżej ścieżki. Uff, dobrze, że jednak ustąpił. Człowiek nie miałby szans na ten sam manewr. Kozic po słowackiej stronie jest mnóstwo, trzeba tylko na moment się zatrzymać i rozejrzeć. Kolejne okazje spotykam na szlaku prowadzącym na Koprowy Wierch, na progu Doliny Hlinczowej. Wychylają łebki znad skalnego załomu. Dwie, trzy, cztery. Patrzą na intruzów spokojnie. Odpoczynek i przeżwanie to główne czynności kozic – zajmują im 40 procent doby, podczas gdy spanie tylko 9 procent. Kamzik zobaczę jeszcze nieraz, na Kopie Łodowej w pustej Dolinie Łodowej, pod Polskim Grzebieniem przełęczy znanej od 200 lat jako najdogodniejsze przejście przez Tatry z Zakopanego do „Szczek-su”, czyli Smokowca, czy w Dolinie Wielickiej.

Czego nie potrafi Coco Chanel

To ostatnie, a w zasadzie jej wyższe piętro zwane Wielickim Ogrodem, Kwietnikiem bądź Ogrodem Wahlenberga na cześć słynnego szwedzkiego lekarza i botanika Gorana Wahlenberga, który badał florę Skandynawii i Karpat (choć tylko po słowackiej stronie), to królestwo świstaka.

Dzielo Szweda „Flora Carpatorum principium” wydane w Getyndze w 1814 roku do dziś ma wartość naukową nie tylko w dziedzinie botaniki, ale też kartografii i topografii Tatr. Kwietnik, czyli bagnista łąka górską rozciągająca się na wysokości powyżej 1800 m n.p.m., opanowują w środku lata, a szczególnie na początku sierpnia, kwitnące ziołorośla i trawy. Tworzą nie tylko fantastyczne, barwne kobierce, ale niespotykane kompozycje zapachów, których nie stworzyłby Coco Chanel czy Armani.

Dominuje żółty omieg kozłowiec, przeplatany fioletem tojadu mocnego i ostróżki tatrzańskiej, bladioróżową miłosną górską, szafirem dzwonka alpejskiego czy kwiatostanem wysokiej, dochodzącej do 1,5 metra wysokości, ciemierzycy zielonej z rodziny lilowatych. Wyżej między granitowymi skałami, na piargach zakorzenił się rojnik górski z rozetkowymi skupiskami różyczek utworzonych przez grube listki sasanka białą.

W wysokiej trawie, czasami tuż przy ścieżce, czasami znacznie dalej żerują świstaki. Trudno je tam dostrzec. Tym bardziej że kamufluje je barwa futerka, szarobrunatna jak skałki. Ponad 100 lat temu, gdy świstaków było w Tatrach więcej, wytopienie zwierzątka było niemiernie trudne. Stanisław Witkiewicz w opisie wycieczki „Na przełęczy” pisał: „W dzikiej Dolinie Hlinczkiej w ciszy rozlegały się poświstywania straży świstaczych (...). Na próżno, zachowując zupełną ciszę, wyteżaliśmy oczy – nie mogliśmy dojrzeć żadnego świstaka”.

Kamień z oczami

W zejściu z Małej Wysokiej w Kwietniku zatrzymuję się za wielkim głazem, 3 metry od ścieżki prowadzącej na Polski Grzebień. Siedzę, popijając krystalicznie czystą wodę wypływającą gdzieś spod skał Gerbachu, podziwiam kłębiące się chimury nad najwyższym szczytem Tatr i nagle pięć metrów przed sobą, w rumowisku widzę... kamień z oczami. Z niedowierzaniem przecieram własne oczy. To nie skała, to szary lepek świstaka. Był tu przede mną. Obserwował mój każdy ruch, a teraz siedzi wpatrzony w mój niebieski plecak. Za chwilę z nory wychyla się drugi. Pierwszy staje słupka na dwóch łapkach, drugi kręci się w trawie. Prezentacja trwa kilka minut. W końcu pierwszy daje nura w zielony dywan traw, a drugi chowa się z powrotem do nory.

Wychodzę na ścieżkę. Próbuje śledzić trasę zwierzątka, ale nie sposób go już zobaczyć w ziołoroślach. Słowaczka, którą miałam wyżej, przy Dłu-

gim Stawie, zgaduje, dlaczego intensywnie wpatruje się w zielony dywan. - Tu jest ich pełno. Najwięcej w całych Tatrach. Jeden wcześniej przebiegił tę (czyli ścieżkę) tuż przede mną - wyjaśnia.

Słońce rozleniwia. Jeszcze raz rzucam okiem na Gerlach, który wylania się chwilowo z chmury, by za chwilę się skryć w szare kłębowisko. Po przeciwnej stronie błękitne niebo podkreśla ostry profil postrzępionych szczytów Granatów Wielickich.

Ruszam w dół. W kosodrzewinie szaleje stado krzyżodziobów. Ich dzioby, silniejsze w dolnej części, są przystosowane do obrywania szyszek z krzaków kosówki i wyłuskowania z nich nasion. Pac, pac. Na głowę lecą upuszczone przez ptaki szyszki. To na pożegnanie. Do zobaczenia jesienią, bo - jak pisał już w XVII wieku Michał Chrusciński vel Hrosciński, autor najstarszego polskiego spisku, czyli swoistego przewodnika po Tatrach - najlepszy czas na tatrzańskie eskapady to dwa lipcowe tygodnie „pierwszy przed św. Jakubem, drugi po św. Jakubie [czyli 25 lipca. Dzień św. Jakuba Apostoła w Kościele katolickim], in Septembri toż samo służy”. ■



Tatrzański słowniczek:

- + **kamzik** - PO SŁOWACKU
KOZICA
- + **kominek** - PIONOWA
ROZPADLINA W SKALE
OGRANICZONA TRZEMA
ŚCIANAMI
- + **perć** - GÓRSKA ŚCIEŻYNA,
CZĘSTO WYDEPTANA
PRZEZ KOZICE
- + **rynna** - WĄSKIE, DŁUGIE
OBNIŻENIE TERENU
POWSTAŁE W WYNIKU
DZIAŁANIA WODY
WYTAPIAJĄCEJ SIĘ
Z LODOWCA
- + **upłaz** - TRAWIASTE,
POCHYLE ZBÓCZE
- + **zeberko** - KILKUMETROWA
WYPUKŁOŚĆ ŚCIANY
BĄDŹ ZBÓCZA, PODOBNA
DO GRZĘDY, ALE WĘŻSZA
I BARDZIEJ SKALISTA

Oko w oko z kamzikiem

Filmy górskie obsypane laurami

Dokument o polskich himalaistkach „Panie w górach” zdobył nagrodę na piątym Inkafest Mountain Film Festival w Peru. To jedna z części cyklu nagrodzonego w niedzielę w Czechach. Wyprodukował go bielszczanin Jerzy Porębski

MARCIN HETNAŁ

Dobry Bóg sprawił, że nam obojgu tego samego dnia udało się wejść tak wysoko” - tymi słowami papież Jan Paweł II zwrócił się do Wandy Rutkiewicz podczas swej pierwszej pielgrzymki do Polski. Tak się bowiem zdarzyło, że w chwili, gdy 16 października 1978 roku biały dym nad placem Świętego Piotra obwieścił światu nowego papieża, jego rodaczka jako pierwsza Europejka i trzecia kobieta na świecie stawała na czubku planety - Mount Evereste. To wydarzenie, które wielu nazywało cudem, było równocześnie całkiem realnym potwierdzeniem fenomenu, jaki wykreowały polskie taterniczki - himalaizmu kobiecego.

O tym właśnie zjawisku opowiada film „Panie w górach”, który jest czwartą częścią cyklu „Polskie Himalaje”. Produkcja wydana niedawno przez Agorę, wydawcę „Gazety”, zdobyła 22 sierpnia pierwszą nagrodę w kategorii Alpinizm na festiwalu w peruwiańskim Huaraz u stóp



Himalaje widziane od strony Tybetu

Białych Kordyliierów. To jednak nie koniec nagród. W niedzielę zakończył się Festiwal Filmów Górskich w czeskich Teplicach. Tu specjalną nagrodę otrzymał cały cykl, na który składają się także obrazy „Pierwsi zdobywcy” - o pierwszych ludziach, którzy wspięli się na najwyższe góry świata, „Łodowi wojownicy” - o wspinaczach, którzy zdobywali Himalaje zimą, „Wielkie wspinaczki” - o najbardziej ekstremalnych wyprawach i łapiący za ser-

ce film „Największe tragedie”, w którym autorzy opisują najsmutniejszą stronę himalaizmu.

„Panie w górach” wyreżyserowali wspólnie Anna Maria Filipow, Jen Sheroki oraz himalaista Krzysztof Wielicki. Producentem - obok Agory - był Jerzy Porębski, urodzony w Bielsku-Białej miłośnik gór. Wspólnie z Wielickim i Robertem Kijakiem z Agory wpadli na pomysł, by w kadrach filmów opowiedzieć o polskim wkładzie w rozwój

jednego z najbardziej niebezpiecznych sportów na świecie.

- To była ogromna praca. Samo zbieranie materiałów było niezwykle czasochłonne. Przeprowadziliśmy ponad 70 wywiadów. Kilka osób, z którymi rozmawialiśmy, dziś już nie żyje - opowiada Porębski.

Film „Panie w górach” opowiada o znanych polskich himalaistkach: Wandzie Rutkiewicz, Annie Czerwińskiej, Ewie Panajko-Pankiewicz i Halinie Kruger-Syrokomskiej. - Dziś już takich zespołów nie ma. Kobiety wspinają się w zespołach mieszanych - dodaje.

W tej chwili pracuje już nad następnym projektem. Specjalnie na 100. rocznicę powstania Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego kończy film „Na każde wezwanie naczelnika”. Premiera 24 października. Przed cyklem „Polskie Himalaje” jeszcze jedna szansa na nagrody, tym razem na festiwalu w Montrealu. Filmy będą także wyświetlane w Museo Nazionale della Montagna w Turynie. To jedno z najlepszych muzeów o tematyce górskiej w Europie, w którego zbiorach jest m.in. kurtka Jerzego Kukuczki. ●

Naukowcy sprawdzili, jak ma się populacja limb w jednej z dzikich tatrzańskich dolin. Okazuje się, że drzewom powodzi się dziś znacznie lepiej niż przed 50 laty

TOMASZ ZWIJACZ-KOZICA*

Limba jest gatunkiem wysoko-górskim. Spotkać ją można wyłącznie w Alpach i w Karpatach w strefie górnej granicy lasu. Inny podgatunek rośnie także na dalekiej Syberii. W Polsce jej naturalne stanowiska znajdują się obecnie wyłącznie w Tatrzańskim Parku Narodowym, głównie w Tatrach Wysokich.

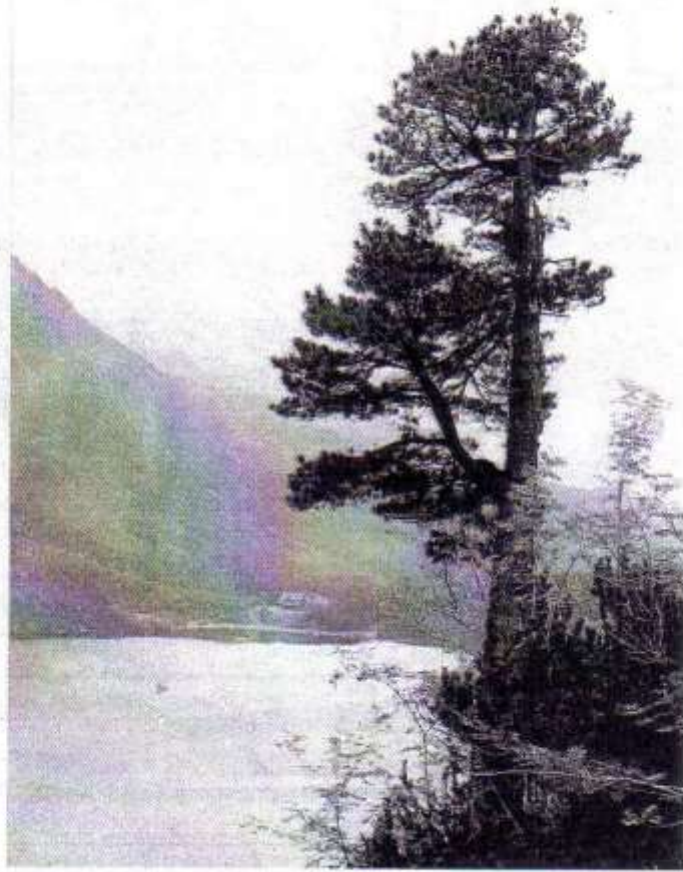
Dwie cechy zdecydowały, że limba ma zasięg ograniczony do tak nieprzyjawnego środowiska. Z jednej strony jest ona bardzo odporna na niekorzystne czynniki pogodowe, zwłaszcza mróz, wiatr i śnieg. Z drugiej jednak strony jest bardzo światłolubna, zwłaszcza w młodym wieku. W łagodniejszym klimacie łatwo przegrywa w konkurencji ze świerkiem.

Limba ma też wyjątkowe możliwości, dzięki którym wraz ze wzrostem wysokości n.p.m. skraca się czas potrzebny na rozwój jej kwiatów. W wyjątkowo dużych jak na drzewo iglaste nasionach limby zgromadzone są zapasy pozwalające na rozwój nawet 5-10-centymetrowego korzenia u jednorocznej siewki. Dzięki temu młodziutka limba może przeżyć nawet w miejscach o bardzo grubej warstwie ściółki lub utrzymać się w niewielkich szczelinach skalnych.

Siewki limbowe są odporne na niedobór wody, a jej skąpe zasoby potrafią efektywnie wykorzystywać. Również u starszych limb system korzeniowy jest mocno rozwinęty, dzięki czemu drzewo opiera się niszczącej sile wiatru. Gałęzie limb są elastyczne i nie gromadzą dużych ilości śniegu, który mógłby je złamać.

Trudno jest dokładnie określić wiek tych drzew, bo wewnątrz są często spróchniałe - ich metryka urodzenia, zapisana w słojach przyrostów rocznych, staje się więc nieczytelna. Najstarsza znana limba z Tatr Słowackich liczy najprawdopodobniej ok. 800 lat.

O odnawianiu się limby i jej rozprzestrzenianiu decydują ptaki, a dokładniej orzechówki, które wczesną jesienią ogolają te drzewa z nasion. Część zjadają od razu, ale resztę ukrywają dużymi partiami w różnych zakamarkach. Ma to ekologiczne następstwa w postaci pojawiania się siewek w zwartych kępach, co widać także w kolejnych latach, starsze limby nadal bowiem często rosną w grupach. Systemy korzeniowe siewek mogą się zrastać, co zwiększa efektywność pobierania wody. Zauważono także, że młode limby pojawiają się znacznie częściej na skalnych występiach i grzybiach niż we wklęsłych



Kozica wśród drzew

Tak jak kozica jest symbolem tatrzańskiej fauny, tak limba tatrzańskiej flory. Przed laty były beztrosko eksploatowane przez ludzi. Groziła im zagłada. Dziś podlegają ścisłej ochronie i mają się coraz lepiej

formach terenu, w których gromadzi się i długo zalega śnieg. Ma to związek ze skłonnością orzechówek do zakładania swoich „spizarni” w takich właśnie miejscach.

Świetna na meble i naczynia

Drewno limbowe ma niezwykle piękną, ciemnozieloną barwę, jest też niezbyt twarde, przez co dobrze nadaje się do rzeźbienia. Niegdyś chętnie wyrabiano z niego meble oraz naczynia i instrumenty muzyczne. Szczególnym powodzeniem cieszyły się limbowe skrzynie na odzież, bowiem silny, żywiczny zapach miał odstraszać mole. Nie są natomiast znane przypadki stawiania na Podhalu budynków z drewna limbowego, choć czasem używano go jako materiału budulcowego na podłogi, ramy okienne czy też boazerie. Jeszcze do niedawna walory użytkowe drewna limbowego przyczyniały się do niszczenia limby na naturalnych stanowi-

skach. Przed wiekami ceniony był także balsam wytwarzany ze świeżych pędów tego drzewa.

Na postępujące wyniszczenie limby w Tatrach, zagrażające jej dalszej egzystencji, zwrócono uwagę już pod koniec XIX wieku. Węgierskie Towarzystwo Karpackie po południowej stronie Tatr, a Towarzystwo Tatrzańskie po stronie północnej podjęły wówczas akcje wysiewania i wysadzania limby w miejscach licznie odwiedzanych przez turystów.

Wystarczy ścisła ochrona

Od 1946 roku limba wpisana jest na listę chronionych gatunków roślin. Wyjątkową możliwość poznania rezultatów tej ochrony dały badania przeprowadzone przez profesora Stefana Myczkowskiego, który w 1954 r. dokładnie policzył, pomierzył i naniósł na mapy limby rosnące w Dolinie Pańszczycej w Tatrach Wysokich. Pół wieku później

limby te zostały ponownie odszukane i pomierzone przez zespół pracowników Tatrzańskiego Parku Narodowego i Instytutu Botaniki PAN w Krakowie. Cóż się okazało?

W ciągu 50 lat ochrony populacja limby w Dolinie Pańszczycej znacznie się zwiększyła. Liczba drzew osiągnęła wysokość 1,3 m (na tej wysokości, zwanej pierśnicą, leśnicy zwykli określać grubość drzew) wzrosła niemal dwukrotnie - z 254 do 465 sztuk. Doszło do tego w wyniku dwóch czynników: licznego naturalnego odnawiania się oraz niskiej śmiertelności limb.

Na początku XXI wieku młodziutkie limby pojawiały się dość licznie. Ich populacja zaczęła zajmować nowe stanowiska położone powyżej dotychczasowego zasięgu, wiele młodych osobników wypełniło też część luk pomiędzy istniejącymi wcześniej grupami.

Podobnie dzieje się w Alpach, gdzie obserwuje się ekspansję drzewostanów limbowych. Związane jest to z zaprzestaniem gospodarki pasterskiej w rejonach wysokogórskich. Zaobserwowano, że nawet w tych rejonach Alp, gdzie górna granica lasu przebiega wyżej, podlega ona ciągłemu przesuwaniu się w górę. Podkreśla się przy tej okazji duże kolonizacyjne zdolności limby. Wynikają one także z tego, że roznoszące jej nasiona orzechówki najbardziej lubią miejsca zlokalizowane ponad górną granicą lasu.

Zarówno podczas naszych badań, jak i w 1954 roku odnotowano bardzo małą liczbę martwych pni limbowych. Śmiertelność limb, pomimo trudnych warunków, w jakich rosną, była zatem wyjątkowo niska. Okazało się także, że 50 lat to okres wystarczający, aby limby rosnące w surowym wysokogórskim klimacie osiągnęły grubość 30 cm.

Po kilkudziesięciu latach ścisłej ochrony populacja limby w Dolinie Pańszczycej znajduje się w znacznie lepszym stanie niż pół wieku temu. Odnawianie się limby zachodzi w ostatnich latach intensywniej niż przed 1954 r. Dane te sugerują, że w warunkach ścisłej ochrony, bez ingerencji człowieka limba dobrze sobie radzi na naturalnych stanowiskach. Wydaje się więc, że dla zapewnienia limbie w Tatrach warunków sprzyjających jej rozwojowi wystarczy, że jej stanowiska objęte są ścisłą ochroną. Niepotrzebne wydają się natomiast zabiegi polegające na dosadzaniu bądź dosiewaniu limb, co jeszcze przed kilkunastu laty było w Tatrach powszechną praktyką. ■

*TOMASZ ZWIJACZ-KOZICA

doktor nauk leśnych, pracownik Tatrzańskiego Parku Narodowego

„Edurne znaczy śnieg”-Monika Rogozińska rozmawia z Edurne Pasaban: Rzeczpospolita: 7.08.2009



Edurne to w języku Basków śnieg. Czy pasją górską zaraził cię rodzice?

EDURNE PASABAN: Ależ skądże! Pochodzę z normalnej rodziny w Hiszpanii. Nikt w niej nie lubi gór. Urodziłam się 1 sierpnia 1973 r. w kraju Basków, w Tolosa niedaleko San Sebastian. Ojciec, właściciel rodzinnej fabryki produkującej maszyny do cięcia papieru, przepracował w niej całe życie. Matka jest fryzjerką. Kiedy rodzice się pobierali, to nie mówili w żadnym wspólnym języku. Matka, Baskijka, nie znała hiszpańskiego.

Rodzice lubiąc przyrodę, dużo jeździli samochodem campingowym. Pamiętam podróż w dzieciństwie przez Pireneje: obudziliśmy się, a z sufitu wisały sople. To był chyba mój pierwszy trening przystosowania się do warunków panujących na dużych wysokościach.

Miałam 14 lat, kiedy zapisałam się do klubu w mojej wiosce, żeby uczyć się wspinaczki skalnej. Zjawiłam się tam nie z powodu miłości do skał, tylko do chłopaka, który uczył wspinania. Wszystkie moje koleżanki w nim się podkochiwały, więc zebrała się spora drużyna na kursantek. Żadna z nas nie zdobyła względów nauczyciela, ale pilnie trenowałyśmy, pragnąc być jak najbliżej naszego szczęścia. Koleżanki długo nie wy-

wiasz się i chcesz nas uczyć” – słyszałam.

W 1998 r. zrobiliśmy wyprawę naszego klubu z Tolosa na Dhaulagiri. Zdobywaliśmy fundusze, sprzedając koszulki z nadrukiem logo ekspedycji, bilety na loterię. Na szczyt Dhaulagiri oczywiście nie weszliśmy. Nie mieliśmy pojęcia o Himalajach. Byliśmy szczęśliwi, docierając do 7500 m.

Tam spotkałaś włoską ekspedycję i człowieka, znanego himalaistę, który miał duży wpływ na twoje życie. Uratował cię także na K2, już po waszym rozstaniu.

Tak. Silvio Mondinelli zaprosił mnie na następny rok na wyprawę na Mount Everest od strony Tybetu. Nie udało nam się stanąć na szczycie. Rok później znowu próbowaliśmy. Dopiero w 2001 weszliśmy od Nepalu na Everest, ja, jako pierwsza Baskijka.

Czy odtąd łatwiej było ci znaleźć sponsorów?

Nie. Baskijski rząd podarował mi 5000 euro na następny ekspedycję, na Makalu. To było wszystko. Ale wejście na Everest zmieniło moje życie. Nie dało się pogodzić pracy w fabryce z wyprawami. Rodzice powiedzieli: dość! Wybrałam wspinaczkę. Kiedy odchodziłam, ojciec płakał. Otworzyłam hotel i restaurację Abeletxe w wiosce Zizurkil niedaleko Tolosa. Nie wiedziałam, jak je prowadzić. Zaczynałam od zera.

Byłaś wreszcie wolna we własnym biznesie.

Szłam do hotelu na 10 rano i wracałam o godz. 3 w nocy. W weekend robiłam zakupy. W poniedziałek dzwoniło o świącie: „Zabrakło piwa”. Kiedy wreszcie pojechałam w Himalaje, to goniły mnie telefony od matki: „Edurne, twój kuchtarz odchodzi...”. „Edurne, zamrażarka się zepsuła...”. Kompletne bzdury, jeśli patrzeć na to z Himalajów. Znalazłam wreszcie menadżera. Dziś pracuje w hotelu i restauracji 20 osób i wszystko działa. Udało się.



•Lhotse (8511 m)
i Mount Everest (8848 m)



•K2
(8611 m)



•Kangchen-
dzonga
(8586 m)



•Makalu
(8463 m)



•Cho Oyu
(8201 m)



•Dhaulagiri
(8167 m)

trwały. Mnie wspinaczka bardzo się spodobała. Moim rodzicom nie.

To skąd miałaś pieniądze na pierwsze wyprawy?

Od ojca. Miałam 16 lat, kiedy po raz pierwszy pojechałam w Alpy. Weszłam z przyjaciółmi na Mont Blanc i Matterhorn od włoskiej strony. Następnego roku byłam w Ekwadorze. Wspięliśmy się na Cimboraço, Cotopaxi i inne wulkany. Zaskoczyło mnie, że tak dobrze czuję się na 6000 m.

A co ze szkołą?

Studiowałam inżynierię – mechanikę, od poniedziałku do piątku. Weekend należał do wspinaczki. Skończyłam studia i zaczęłam pracować w fabryce ojca. Sprzedawałam maszyny do Ameryki Południowej i Azji. Lubiłam to zajęcie, dopóki nie stało się nudne. Nie wytrzymałam braku wyzwań i rozwoju. Miałam 25 lat i wiedziałam, jak wiele można w firmie zmienić. Filozofia starszej generacji nie zmieniła się. „Całe życie tak robiliśmy i było dobrze, nagle poja-

Ale w górach zostałaś sama. Dlaczego?

Mieliśmy z Silvio duży problem. Jeździliśmy razem na wyprawy, weszliśmy też na Makalu. Góry głęboko łączą. Silvio był żonaty. Pewnego dnia musiałam podążyć dalej sama. Pozostaliśmy przyjaciółmi.

Program telewizyj hiszpańskiej „Al Filo de lo Imposible” („Na krawędzi niemożliwego” nazywany też „Na ostrzu miecza”) od 25 lat towarzyszy wyczynom eksploracyjnym, sportowym i przygodzie na lądzie i pod wodą. Dziś finansuje i organizuje tobie wyprawy, ekipę alpinistów i kamerzystów. Kiedy się tobą zainteresował?

Spotkałam ekipę „Al Filo” pod Everestem w 2000 r. Zapytałam szefa programu, czy mogą mi pomóc? Usłyszałam: A kim ty jesteś??? Byłam dla nich nikim. Dopiero kiedy stanęłam na czterech ośmiotysięcznikach, powiedzieli, że chcą zrobić film z kobietami wchodzącymi na Gasherbrumy. Tak zaczęliśmy współpracę.

Na następnej wyprawie, na K2, wybornie spełniaś oczekiwania telewizji. Wszedł na szczyt w otoczeniu najlepszych himalaistów, umierałaś, sprowadzano cię do bazy, zwieziono helikopterem, amputowano odmrożone palce stóp. Byłam wtedy w bazie w 2004, roku jubileuszowym, 50-lecia zdobycia dziewiczego K2. Tłum wypraw, ekip telewizyjnych, noc, sprzeczne informacje, zaginięcia alpinistów... Co naprawdę się wydarzyło?

Na szczycie stanęliśmy we czworo późno, ok. 17.30. Zaczęliśmy schodzić. Zapadł zmrok. Juanito Oiarzabal (zdobywca Korony Himalajów, po raz drugi na szczycie K2) i Juan Vallejo utworzyli jeden zespół, ja z Silvio Mondinellim drugi. Kiedy doszliśmy do lin poręczowych, które wcześniej założyliśmy w wylodzonym kuluarze, Silvio powiedział, że jest mu bardzo zimno, pójdzie szybciej i poczeka na mnie w obozie IV. Zgodziłam się. Powiedziałam, żeby się nie martwił, bo dwaj koledzy idą za nami i nie będę sama. Nie wiem jak, ale zgubiłam czołówkę. Póstanowiłam w ciemności poczekać na kolegów. Usiadłam i zasnąłam. Juanito i Juan obudzili mnie dwie godziny później. Gdyby nie doszli, to i ja bym tam została. Dotarłam do obozu IV na wys. 8000 m z Juanem. Oiarzabal szedł za nami. Ale nie doszedł do namiotów. Ktoś go odnalazł. Siedział na śniegu poniżej obozu, który ominął zgubivszy drogę. Był w złym stanie. Przyprowadzono go do namiotu. Następnego dnia wystartowaliśmy z obozu IV o 6 rano. Wszyscy ciężko pracowali by nas, Juanito i mnie, uratować. To było wspaniałe. Dotarliśmy do bazy po północy.

Ile czasu spędziłaś w szpitalu?

Czekałam 44 dni, aż ustalili linię między odmrożoną tkanką a żywą na palcach stopy. Potem odcięto martwą część. Na obciętej kości nie zaszywa się skóry. Rana sama musi się zasklepić. To długi i bolesny proces.

Często zastanawiałam się, jak Wanda Rutkiewicz sobie z tym radziła; dwa razy wyszła za męża...

Żle sobie radziła. Chciałabyś mieć dzieci?

To jest mój duży problem. Cena za moja pasję jest bardzo wysoka. Mam 35 lat.

W Hiszpanii i poza nią jesteś ostro atakowana za brak samodzielności, za świątę, która ci pomoże zejść ze szczytu. Wiem, że krytyka cię bardzo boli.

Krytykują mnie za to, że mam bardzo dobry zespół, który pracuje, żebyśmy dokończyli Koronę Himalajów. Działamy w piątkę. Ludzie, z którymi się wspinałam, nie są moimi przewodnikami, ale partnerami. Odpowiadam za realizację materiałów filmowych, organizację, strategię i taktykę wyprawy, a nawet biurokrację. Nikt nie krytykuje Gerlinde, z którą się przyjaźnię, i Nives, że wspinają się z mężami, którzy są dobrymi alpinistami. Oni przecież realizują projekty swoich żon. Wspinałam się klasycznymi drogami, nie próbuję zimą, wiem, na co mogę sobie pozwolić. Robię to, co lubię. Dlaczego mnie krytykujecie?

Zostałaś do wejścia Annapurna, uchodząca za najbardziej nieprzewidywalny ośmiotysięcznik i uważana za łatwą Shisha Pangma.

Żadnej innej góry nie atakowałam tyle razy co Shisha Pangma – trzykrotnie. Annapurnę próbowałam raz zdobyć. To bardzo niebezpieczna góra. Wymaga ciągłego, czujnego rozglądania się, obserwowania ślasy – spada tam dużo lawin. Nie ma chwili relaksu. Zostawię ją na koniec.

A co będzie po końcu?

Powrót na Everest bez tlenu. To był mój pierwszy i jedyny ośmiotysięcznik, na który wszedłam z butlą.



Rok później stanęłaś na Nanga Parbat. Wiesz niesie, że następnie trafiasz do innego szpitala, psychiatrycznego. Zniknęłaś na rok. Trudno uwierzyć, że góry cię stopiły, wykończyły, jak sugerują opinie w internecie?

Zakochałam się nieprzytomnie. On miał za sobą parę ośmiotysięczników, ale razem się nie wspinaliśmy, nie chciał. Był prezesem banku, intensywnie pracował. Wspinał się, bo to lubił. Był moim życiem. Mieszkaliśmy razem w Barcelonie. Straciłam go. Myślałam, że wprowadzałam w jego życie zbyt dużo napięcia. Wciąż byłam w drodze, stałam wśród mężczyzn.

Potrzebowałam domu z żoną, kolacją, spokojem po stresującym dniu, a nie fascynującego, lecz niestabilizowanego partnerstwa?

Prawda jest, że kiedy po mojej wyprawie na Nanga Parbat rozstałam się ze mną, miałam wielką depresję. Byłam bardzo chora. W 2006 r. nie wspinałam się. Dziś wiem, że góry nie są w stanie wypełnić mi całego ży-

Nie śmiałam wtedy inaczej. Są też sprawy, które zaniedbałam. Pragnę pomagać. Mamy fundację Mountaineers for Himalayas zajmującą się edukacją dzieci w Nepalu, Tybecie, Pakistanie (www.mount4him.org). Zmiana życia na lepsze jest możliwa, jeśli zacznie się od rozwoju dzieci. Chciałabym pracować z ludźmi także w Hiszpanii. To naturalne, że kiedy zdołasz przezwyciężyć depresję, to chcesz pokazać innym, że też mogą stanąć na nogi. Studiuję w Barcelonie coaching, żeby umieć dać innym dobrą energię do podążania dalej. Wy tłumaczę, że choć bywa, iż mamy wszystkiego dosyć, to jesteśmy tu tylko raz i powinniśmy starać się być szczęśliwi.

OŚMIOTYSIĘCZNIKI EDURNE PASABAN:

2001 r. Mount Everest, 2002 r. Makalu i Cho Oyu, 2003 r. Lhotse, Gasherbrum II oraz Gasherbrum I, 2004 r. K2, 2005 r. Nanga Parbat, 2007 r. Broad Peak, 2008 r. Dhaulagiri i Manaslu, 2009 r. Kangczendzonga.
WWW.EDURNEPASABAN.COM

Świstak gwizdże na intruzów

Czy można zwierzę, które 90 procent czasu życia spędza pod ziemią, spotkać na szlaku? I to w sytuacji, gdy żyje u nas w liczbie ledwie tyśiąca osobników? Ano można, pod warunkiem że się ma oczy, a zwłaszcza uszy, szeroko otwarte. Świstaki, bo o tym gatunku górskiego ssaka tym razem mowa, nie biegają wprawdzie po ścieżkach turystycznych, ale z tych szlaków można je ujrzeć przez lornetkę, a nieraz i gołym okiem.

Uwaga, orzeł!

One to potrafią! Będąc wczesną wiosną w Tatrach, wkrótce po przebudzeniu świstaków, miałem okazję sprawdzić, że nazwa nie została nadana zwierzęciu bez powodu. Przejmujący gwizd, który się rozlega nagle gdzieś pod skałami, pozwala wykryć alarmującego zwierzęcia dużo wcześniej, nim się go ujrzy. O ile to drugie w ogóle nastąpi! Wspomniany dźwięk nie jest właściwie gwizdem w ludzkim rozumieniu, ale raczej okrzykiem wydawanym przy pełnym rozwarciu pyszczki.

Schodziliśmy właśnie całą ekipą, realizującą telewizyjny program przyrodniczy „Dzika Polska”, z Kasprowego Wierchu ku Hali Gąsienicowej popularnym, mocno wydeptanym szlakiem, gdy nagle... nasz przewodnik, a zarazem badacz tatrzańskie fauny, Tomasz Zwijacz Kozica rzucił: - Słyszycie? Jest! Po czym zaczął obserwować przez lornetkę sąsiedni stok, stopniowo wyzieraający z gęstych chmur. Przez długi czas nie mogłem za nic ujrzeć świstaka, gdy tymczasem nasz przewodnik najspokojniej go śledził i komentował zachowanie.

Świst, który słyszeliśmy, ma przede wszystkim, o ile nie wyłącznie, znaczenie ostrzegawcze. - Świstaki nie gwizdają dla zabawy - zapewnia Zwijacz. Krótki, głośny gwizd to syrena alarmowa. Kto żyje (spośród świstaków), na taki dźwięk chowa się do nory. Najczęściej oznacza on po prostu „Uwaga, orzeł!”. Bo orzeł przedni to bodaj najgroźniejszy wróg tatrzańskich gryzoni. Co prawda w Tatrach żyje prawdopodobnie tylko jedna para dostojnych skrzydlatych łowców, ale wobec zaledwie tyśiąca dusz liczącej społeczności świstaków to już znaczące zagrożenie. Jedna para orłów może wszakże schwytać w sezonie nawet 70 świstaków!

Seria mniej panicznych, cichszych gwizdów zapowiada pomniejszych intruzów, w tym człowieka. Na niego dziś świstaki mogą gwizdać, bo są pod najściślejszą ochroną. Skradający się lis, usłyszawszy taką serię, już zaprzestaje podchodu. Wie, że obejdzie się smakiem. Alarm działa bezbłędnie, a solidarność alarmujących czyni go nad wyraz skutecznym. Zwierzęta te są bardzo czujne, ale umykają pod ziemię do-

piero, gdy wróg jest całkiem blisko. To ważny szczegół, bo zwiększa nasze szanse na oglądanie wdzięcznych gromadek świstaków. Choćby tu, na południowej ścianie Kasprowego. - To słynna kolonia świstaków - zauważa nasz przewodnik.

Kolejki wstrzymać

Słynna, bo tu świstaki naraziły się narciarzom, a za jednym zamachem też firmie obsługującej kolejkę linową na Kasprowy Wierch. Najbardziej chyba przez to, że są tak rzadkie i chronione. Obecność świstakowych kolonii doprowadzała już bowiem parokrotnie do zawieszania kursów wyciągu narciarskiego, co odbijało się też na frekwencji pasażerów kolejki. Niemniej niska liczebność tych zwierząt usprawiedliwiała takie posunięcia dyrekcji Tatrzańskiego Parku Narodowego.

Poza tym jednak świstaki nie naraziły się ludziom niczym więcej. A że mają wygląd maskotek i przytulanek - budzą sympatię. W średniowieczu w takim charakterze schwytywane osobniki występowały na jarmarkach. Dzisiaj ich wizerunki grywają w reklamówkach. Niemniej w przeszłości obeszlśmy się ze świstakami nader niełaskawie. Były zabijane dla ich rzekomo leczniczego sady. W naszych stosunkowo niewielkich obszarach górach musiało to doprowadzić gatunek na skraj zagłady. Rodzima, tyśiąć sztuk licząca społeczność, jest drobnostką wobec alpejskiej liczącej dziesiątki, o ile nie setki tyśiący osobników. I to mimo że tamtejsze świstaki - z nieco innej odmiany niż nasza - są wciąż odławiane.



Świstak, Marmota marmota. Długość ciała 40 - 50 cm, ogona 15 - 20 cm. Waga od 3 kg (wiosną) do 6 kg (przed snem zimowym). Chroniony.

Świstakom niestraszne są lawiny, a przed mrozem na całą zimę chowają się do nor. Podczas hibernacji ich serca zamiast 130 uderzają tylko 15 razy na minutę. Nory starannie zatykają czymś w rodzaju pakul. Ale nie tylko na mrozy, także na letnie upały nie są odporne. Nie zięją i się nie pocą. Jedynym rafinowaniem jest nora. Toteż systemy nor świstaczych muszą być chronione.

Pocałuj mnie w nos

Tak zdaje się mówić świstak, spotkawszy drugiego świstaka. Rzeczywiście, tworzące grupę rodzinną osobniki na powitanie trącają się nosami, jakby się całowały. Nie są to jednak pocałunki w naszym rozumieniu. Te i im podobne zachowania naszych bohaterów sprawiają, że łatwo przypisujemy świstakom skłonność do zachowywania dożgonnej wierności partnerowi. Monogamia świstaków jest jednak pozorna. Owszem, w rodzinnym stadku prawo rozmnażania ma niby tylko dominująca para, ale... Wyszło na jaw, że zwykle jedynie część miotu zawiera geny ojca dominanta. Reszta - nieraz i 30 procent potomstwa - to sprawka innych, mniej ustosunkowanych lub z obcych stad pochodzących dobiegaczy dominującej samicy. Rozwiązłość nie jest więc tym zwierzętom obca, choć tak miło i niewinnie wyglądają. Cóż, przyrodę nie uznaje naszych ideałów, a świstaki wyraźnie na nie gwizdają...

- Tomasz Klosowski

KOREAŃSKI CZARNY KOŃ



OH EUN SUN z Korei Południowej, ma 43 lata i w dorobku Koronę Ziemi - siedem najwyższych szczytów kontynentów. 3 sierpnia weszła na Gasherbrum I i ogłosiła, że to jej 13. ośmiotysięcznik. Ekipy wspinaczy i Szerpów wydeptują jej drogi na szczyty. Przylatuje helikopterem do bazy, wchodzi i leci pod następną górę. Twierdzi, że nie używa tlenu i brakuje jej Annapurny do Korony Himalajów. Himalajści uważają, iż kłamie. OES.CHOSUN.COM

„Filmy tylko dla orłów”-Wojciech Fusek-Gazeta Wyborcza: 14.05.2009

WOJCIECH FUSEK

Blok konkursowy rozpocznie jutro o godz. 18 film Artura Paszczaka „Walking on the Moon”. Nakręcony w 2003 roku opowiada o losach pewnej wyprawy. Autor, rezygnując z klasycznego, pełnego patosu stylu narracji, tak często spotykanego w filmach górskich, stara się pokazać prawdziwe wyprawowe życie.

Z kolei „China Climb” to pełna werwy i humoru opowieść o wyjeździe polskich skałotazów do Chin w poszukiwaniu wyzwania. Jak się okazało na miejscu, nie tylko wspinaczkowych. Scenariusz i reżyseria: Sławek Sławeteki.

Wart polecenia jest mający już 10 lat film „Ikar”, to barwny portret Bogdana Kulki, „ostatniego wolnego glajciarza”, jednej z najbardziej kontrowersyjnych postaci w środowisku paralotniarzy, zdobywcy drugiego miejsca w Coupe Icare '97, autora subtelnych artykułów w „Przeglądzie Lotniczym” i obscenicznych lalek, pracowitego fotografa i roztrąconego ojca dwóch synów, który nie zdążył wziąć ślubu z ich matką. Nie zdążył, bo zginął.

Ozdoba sobotnich projekcji będzie 50-minutowy film „W drodze”. Dokumentuje on podróż górnika Mieczysława Bienika na spotkanie z Dalajlamą. Bieniek po wypadku w kopalni Wieczorek nie mógł wrócić do pracy. Próbuje nadać nowy sens życiu, błądząc palcem po mapie, odnalazł Indie. Nie znając języka, bez pieniędzy, wyruszył do Azji. Po latach tam wrócił, ale nie sam. Towarzyszył mu młody dokumentalista Paweł Wysoczyński. Już wspólna podróż mężczyźni jest niezwykła - dzieli ich wiek, wykształcenie, światopogląd, zainteresowania. Ruszają na spotkanie z obcą religią, kulturą i klimatem. Film zdobył nagrody na festiwalach w Neapolu i Tarnowskich Górach. Po projekcji spotkanie z bohaterem filmu oraz reżyserem.

Prócz tego w sobotę zobaczymy: „Tatry Wysokie - królestwo dzikiej przyrody” w reżyserii Pawła Barabása oraz jeden z pięciu filmów zrealizowanych w projekcie wydawniczym Agory (wydawca „Gazety Wyborczej”) „Polskie Himalaje” - „Panie w górach”, „Dobry Bóg sprawił, że nam obojgu tego samego dnia udało się wejść tak wysoko” - ten najsłynniejszy cytat w historii polskiego hi-

malaizmu wzrusza do dziś równie mocno, a może i mocniej niż kiedyś, gdyż obydwójka rozmówców nie ma już tu na Ziemi. Słowa te wypowiedział 10 czerwca 1979 roku podczas pierwszej pielgrzymki do ojczyzny Jan Paweł II do wzruszonej Wandy Rutkiewicz. Mówił, przypominając niezwykle dla nich obojga dzień 16 października 1978 roku. Wtedy to w chwili, gdy biały dym nad placem Świętego Piotra obwieścił, że świat ma nowego papieża z dalekiego kraju, jego rodaczka jako pierwsza Europejka i trzecia kobieta na świecie stawiała na Mount Evereście. To wydarzenie, które wielu nazywało cudem, było równocześnie całkiem realnym i mocnym przypieczętowaniem fenomenu, jaki wykreowały polskie taterniczki - himalaizmu kowiego.

Na koniec cieszący się wielką popularnością na festiwalach w Warszawie i Katowicach „Zew ciszy”. Produkcja Louise’a Osmonda to osobista opowieść Joego Simpsona, brytyjskiego alpinisty i pisarza, o jego obsesji związanej z północną ścianą Eigeru i jej mroczną historią (Joe wspomina m.in. śmierć Toniego Kurta w 1936 roku podczas odwrotu z północnej ściany). Simpson wyznaje, jak skrajne uczucia wywołuje w nim ta legendarna, owiana złą sławą góra.

W niedzielę kolejny film z książkowo-płytowej serii „Polskie Himalaje”. Najpierw „Łodowi wojownicy” oraz „Największe tragedie”. Oba filmy pokazują niezwykłą pozycję polskiego himalaizmu. Po projekcji organizatorzy zapraszają na spotkanie z Krzysztofem Wielickim.

Dla miłośników czystego wspinania się będzie „King Lines”, opowieść o życiu Chrisa Sharmy, jednego z czołowych skalnych wspinaczy świata. W poszukiwaniu wyzwania wyrusza on na bouldery (dwu-, czterometrowe skałki, na których wytycza się bardzo trudne drogi, przez które przechodzi się bez asekuracji) w Ameryce Południowej, ogromne wapienne ściany w Europie i skały w Australii. Film pokazuje drogę Chrisa, który zaczynał od... łażenia po drzewach.

Na koniec dwa filmy najlepszego polskiego operatora i reżysera filmów górskich Darka Żaluskiego: „Pustelnicy w górach” i „Annapurna na lekko”. Oba opowiadają o polskich wyprawach w góry najwyższe, oba są świeże i zaskakujące, z masą niebanalnych ujęć, dowcip-

nych uchwycionych na żywo dialogów.

Przeglądowi towarzyszyć będzie wystawa fotografii pt. „Wspinaczka w skałach i lodzie” autorstwa Piotra Haczka, będzie też można nabyć wydawnictwa poświęcone tematyce górskiej. ●

Projekcje w kinie Janosik.
Bilety pojedyncze 10 zł,
karnet na cały przegląd - 40 zł



Z Krzysztofem Wielickim spotkamy się w Żywcu w niedzielę

WYDAWCA: POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE O/PTT im. Gen. M. Zaruskiego

Organizacja Pożytku Publicznego Nr KRS 0000115547

41-200 Sosnowiec ul. 3 Maja 29/4A tel: 0-32-2663815, www.sosnowiec.ptt.org.pl

Redakcja: Redaktor Naczelny - Zbigniew Jaskiernia, Krzysztof Czesak - Członek Redakcji